

Towarzysz Jaruzelski prezydentem

Robert Spalek

Składał przysięgę w przydużym stalowo-szarym garniturze w cienkie paski. W nieodzownych, ciemnych i dawno już niemodnych okularach na nosie. Włosy na skroniach i tyle głowy zaczesał do tyłu, tak jak miał w zwyczaju. Wyglądał niemal tak samo jak na karykaturach drugiego obiegu, drukowanych w stanie wojennym. Niemal, bo nie miał na sobie munduru.

► Wojciech Jaruzelski składa przysięgę, obejmując urząd prezydenta; obok: marszałek sejmu Mikołaj Kozakiewicz

Dwadzieścia pięć lat temu, 19 lipca 1989 roku, Wojciech Jaruzelski został drugim, a zarazem ostatnim prezydentem Polski Ludowej (cztery dekady wcześniej ten urząd sprawował Bolesław Bierut). Jaruzelskiego poparło 270 posłów i senatorów. Przeciw głosowało 233 parlamentarzystów, 34 wstrzymało się, a siedmiu wybranych z list Solidarności z rozmysłem oddało nieważne głosy. Ci ostatni obniżyli w ten sposób kworum. Co więcej, szefostwo klubu parlamentarnego już wcześniej wysłało na przymusowe urlopy kilku reprezentantów Solidarności – zdecydowanych i nieprzejednanych przeciwników generała. Ostatecznie jedenastu parlamentarzystów z opozycji nie wzięło udziału w wyborze. Operacja się powiodła. Wymagana większość wynosiła 269 głosów za, a Jaruzelski otrzymał o jeden więcej.

Marszałek sejmu Mikołaj Kozakiewicz wspominał: „Nie przewidzieliśmy właśnie jednego, że Jaruzelskiego doprowadzą na próg niewybrania jego koalicyjni posłowie. Nieoczekiwanie wielu posłów

Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej nie głosowało za nim. Prawie jedna trzecia posłów ludowych, sporo SD-ów [członków Stronnictwa Demokratycznego] opowiedziało się przeciwko niemu. Jaruzelski przeszedł naprawdę dzięki posłom i senatorom O[bywatelskiego] K[lubu] P[arlamentarnego] [zrzeszającego posłów i senatorów Solidarności] i nie jest prawdą, że to opozycja go wykosiła”.

Generał oglądał posiedzenie Zgromadzenia Narodowego w telewizji. Był tak zdenerwowany, że kilka razy wyłączył odbiornik. Kiedy do jego gabinetu w Urzędzie Rady Ministrów przyjechali marszałkowie sejmu i senatu, przywitał ich już jednak uśmiechnięty, a nawet rozluźniony. Wkrótce, we trójkę, powrócili do parlamentu – na uroczystość zaprzysiężenia. Po ceremonii, w gabinecie Kozakiewicza, Jaruzelski powiedział: „Nigdy nie piję, ale dziś napiję się”.

Strachy na Lachy

Pięć tygodni wcześniej szef radia i telewizji Jerzy Urban oznajmił przed kamerami, że sprawa prezydentury Jaruzelskiego

została definitywnie przesądzona jeszcze podczas rozmów przy Okrągłym Stole. Urban blefował. W rzeczywistości została tam milcząco zaakceptowana przez Solidarność. Ale wtedy żadna ze stron podejmowanego kompromisu nie spodziewała się tak totalnej klęski PZPR w wyborach. Tymczasem partia 4 i 18 czerwca 1989 roku przegrała wszystkie mandaty, które były do przegrania. Potencjalna siła PZPR okazała się urojeniem i system polityczny w oczywisty sposób zaczął się rozpadać. Z punktu widzenia dotychczasowej władzy Jaruzelski musiał zatem pozostać na czele państwa jako strażnik i obrońca jej przywilejów.

Ruszyły naciski na opozycję. Kilka dni po pierwszej turze wyborów parlamentarnych minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak oświadczył abp. Bronisławowi Dąbrowskiemu, że „żaden inny prezydent nie znajdzie posłuchu w siłach bezpieczeństwa i w wojsku”. Przy innej okazji uzupełnił: jeśli prezydentem „nie zostanie Jaruzelski, rozpocznie się dramat”. Z kolei Stanisław Ciosek z kierownictwa PZPR ostrzegał:

„może dojść do krwawego zamachu stanu”, w którym ofiarami będą zarówno ludzie Jaruzelskiego, jak i liderzy Solidarności. Kolejny polityk władzy wspominał o „całkowicie realnym” buncie „młodych pułkowników”. Straszono też interwencją Moskwy, mającą bronić swego stanu posiadania w Europie. Z drugiej strony próbowano mieć liderów opozycji parlamentarnej ułatwieniem im szybkich kontaktów z Sowietami. Należy tylko wybrać generała. Wywoływano przestrach wśród hierarchii kościelnej, będącej pośrednikiem między komunistami a Solidarnością; zresztą czyniono to na wyraźne życzenie samego Jaruzelskiego, który na posiedzeniu Komitetu Centralnego PZPR nakazał „w sposób dramatyczny przedstawić sytuację”.

Dziś wielu historyków jest przekonanych, że były to jedynie strachy na Lachy, a nie realna groźba; komuniści po prostu manipulowali przeciwnikami politycznymi. Ale to, że w aparacie władzy zapanował po przegranych wyborach przejściowy marazm, że nomenklatura popadła w zniechęcenie – wiadomo dopiero dziś. Szukano winnych porażki. Narastał konflikt między administracją rządową a zwyczajowo nadrzędnymi wobec niej komórkami partii. Rwała się współpraca między wciąż funkcjonującym rządem premiera Rakowskiego a PZPR (którą nadal dowodził I sekretarz Jaruzelski). Na słabość władzy wskazywały pośrednio także badania sondażowe. W połowie lipca partię darzyło zaufaniem tylko 18 proc. społeczeństwa.

Inna sprawa, że zarówno większość nowej klasy politycznej, jak i społeczeństwa, nie były tego do końca świadome. Nie potrafiono sobie wyobrazić – przy wciąż istniejącym podziale Europy na część zachodnią i sowiecką – że dotychczasowy ustrój ostatecznie kona. Że to się dzieje. Tym bardziej nie wyobrażano sobie, że wielcy i mali beneficjenci tego ustroju oddadzą swe posady i przywileje bez walki. Także i dziś niektórzy komentatorzy historyczni uważają ówczesną perspektywę za słuszną i przekonują, że próba natychmiastowego pozbawienia przywilejów oraz politycznego i karnego rozliczenia aparatu

władzy doprowadziłyby do pełnej mobilizacji i odwetu komunistów.

Polityczne hamletyzowanie

Tak czy inaczej należy zauważyć, że całe zamieszanie irytowało Jaruzelskiego. On – generał, komunista, przez ponad dwie dekady członek najwyższych władz, autor stanu wojennego – nie był przyzwyczajony do procedur demokratycznych i swobodnej wymiany myśli. Uwłaczało mu poddawanie jego kandydatury publicznym rozważaniom i krytyce. Nagle jego polityczne winy, charakterologiczne wady i zalety stały się przedmiotem rozważań ludzi, o których losie decydował jeszcze kilka lat temu.

Co więcej, przeciwko wybraniu go na najważniejsze stanowisko w państwie zaczęły opowiadać się osoby, po których się tego nie spodziewał. Partia i jej satelici w parlamencie (SD, ZSL) dysponowali formalnie wystarczającą liczbą głosów, ale około dwudziestu posłów ZSL i SD oraz część reprezentantów PZPR groziło wstrzymaniem się od głosu albo głosowaniem przeciwko Jaruzelskiemu. Nowy parlament nieoczekiwanie bowiem stał się

► Nowo wybrany na urząd prezydenta PRL Wojciech Jaruzelski przed Zgromadzeniem Narodowym; Warszawa, 19 lipca 1989 roku

w dużym stopniu niezależny od dotychczasowych decydentów z PZPR. Tym samym Jaruzelski był zdany na łaskę i niełaskę niedawnych wrogów – wybrańców Solidarności.

Sytuacja się komplikowała, bo generał nie wyobrażał sobie firmowania swoim nazwiskiem kolejnej publicznej porażki. ►



Pierwszą był oczywiście wspomniany pogrom partii w wyborach, w tym przede wszystkim przepadek pezetpeerowskiej elity umieszczonej na tzw. liście krajowej (byli tam także dygnitarze ZSL i SD) – odrzuconej niemal w całości przez wyborców. Była to chyba największa oficjalna porażka komunistów od początku ich rządów w Polsce. Dlatego generał domagał się zapewnienia, że Zgromadzenie Narodowe udzieli mu możliwie najszerzego poparcia. Deklarował, że w przeciwnym razie, jeśli ma „przezołgać się” do prezydentury, to się wycofa.

I tak zrobił. Pod koniec czerwca oświadczył, że rezygnuje z kandydowania. Jedni mówią, że Jaruzelski szarżował i grał, bo w rzeczywistości, posługując się tym blefem, sprawdzał faktyczny stan posiadania „szabel”; inni wierzą, że naprawdę złąkł się przegranej. Wśród członków establishmentu, aparatu partyjnego i kadry bezpieczeństwa wzmógł się niepokój, bo – jak mniemali – poddał się gwarant ich stanu posiadania. Generał scedował swoje poparcie na Kiszczaka – szefa bezpieczeństwa, który kilka miesięcy wcześniej oficjalnie kierował rozmowami Okrągłego Stołu ze strony komunistów. Niby Kiszczak miał być łatwiejszy do przelknięcia dla Solidarności, właśnie dlatego że z jej liderami przeprowadził wiele rozmów towarzyszących zawieraniem kompromisowi. Ruch był jednak chybiony i stało się odwrotnie – wskazanie na Kiszczaka powszechnie odebrano jako straszenie i zaostrzenie działań przez PZPR.

Do tego pozycja Kiszczaka w aparacie partyjnym była raczej słaba. Aby ją wzmocnić, powołano specjalną grupę promującą ministra spraw wewnętrznych. W jej skład weszli Józef Czyrek, Ireneusz Sekuła i Aleksander Kwaśniewski. Jak wspominała jedna z osób z najbliższego kręgu Kiszczaka, „to była zupełna parodia”, bo w praktyce „nikt ich nie słuchał i nie mieli żadnych możliwości”. Zresztą zamiast promować nowego kandydata, głowili się raczej, jak ponownie nakłonić Jaruzelskiego do prezydentury. A kiedy współpracownik Kiszczaka referował Czyrkowi, że „wszystko się wali”, ten podłubał w nosie, wstał i oznajmił: „No,

towarzyszu, z tego, co wy mówicie, wynika, że my tracimy władzę. A popatrzcie...” – otworzył drzwi własnego gabinetu, za którymi w oddali stało biurko i konsola z telefonami – „Popatrzcie! Widzicie? Telefon? – Stoi! Drzwi? – Są! I kto nam władzę odbiera?!”.

Przy takim podejściu do rzeczywistości Czyrek nie zdołał wypromować gen. Kiszczaka, a Jaruzelski wystraszył własne zaplecze. Ten strach wzbudził zwrotną falę poparcia. Kolejne szczeb-

dacji Jaruzelskiemu udzielił także prezydent Francji François Mitterrand. Kropkę nad i postawił zaś prezydent USA George Bush, który 9 lipca zawiązał na czterdzieści godzin do Warszawy. O Jaruzelskim wyrażał się z uznaniem. Zamiast trzydziestu minut, rozmawiał z nim dwie i pół godziny. Ponoć go polubił, a swoim doradcom przedstawiał go jako „człowieka z klasą”. Najważniejsze było to, że amerykański prezydent uznał Jaruzelskiego za „gwaranta stabilności”, który studzi



Fot. PAP/CAF/Damazy Kwiatkowski

► Prezydent Jaruzelski wita się z wicepremierem i ministrem spraw wewnętrznych w rządzie Mazowieckiego, Czesławem Kiszczakiem; wcześniej Jaruzelski forsował kandydaturę Kiszczaka na prezydenta i premiera, to jednak okazało się nie do zaakceptowania przez Solidarność

le i komórki partyjne zaczęły – ale tym razem już zdecydowanie – wspierać Jaruzelskiego. A kiedy poparcia udzielił generałowi także KC PZPR, wówczas jego nadwątlona reputacja została w jakiejś mierze odbudowana. Potwierdzono jego przywództwo.

Generale, prosimy

Sytuacja Jaruzelskiego polepszyła się diametralnie po 7 lipca, kiedy to spotkał się w Bukareszcie z sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego Michaiłem Gorbaczowem. Gensek nakłaniał go gorąco do kandydowania, nie widząc alternatywy. Prośbę ponawiał potem telefonicznie. Należy pamiętać, że w połowie czerwca rekomen-

nastroje odwetowe aparatu partyjnego, bezpieczeństwa i kadry oficerów wojska.

Jaruzelski krygował się przed gospodarzem Białego Domu, że nie potrafiłby zaakceptować porażki, a bez poparcia Solidarności nie uzyska koniecznej liczby głosów itp. Bush z kolei mu kadził. Wychwalał jego patriotyzm (co w ustach prezydenta Stanów Zjednoczonych, które przez pół wieku walczyły z dominacją komunistyczną w tej części Europy, musiało brzmieć naprawdę groteskowo), mówił o doniosłej roli Jaruzelskiego w transformacji państwa.

Część tych opinii przedostała się natychmiast do wiadomości publicznej. Postawa Busha wywołała rozczarowa-

nie i złość wielu członków Solidarności. Kiedy dodatkowo okazało się, że amerykańska pomoc finansowa dla Polski będzie o wiele mniejsza, niż oczekiwano, politycy opozycji i komuniści byli po prostu wściekli. Podczas przemówienia Busha w sejmie panowało wymowne milczenie. Przewodniczący Solidarności, Lech Wałęsa, na osobnym spotkaniu z nim też nie ukrywał złości.

Ambasador kreśli na pudełku

Dziś już wiemy, że rozstrzygający wpływ na przekonanie grupy posłów i senatorów Solidarności do głosowania na Jaruzelskiego wywarł kilka tygodni wcześniej ambasador amerykański John Davis. W tajnej depeszy z 23 czerwca 1989 roku, wysłanej do Waszyngtonu, relacjonował: „Wczoraj wieczorem zjadłem obiad w towarzystwie kilku czołowych parlamentarzystów Solidarności, których nazwiska nie powinny zostać ujawnione, i pokrótce wynotowałem dla nich na odwrocie pudełka zapalek kilka liczb. Wprowadziłem ich również w arkana zachodniej praktyki politycznej znanej jako »liczenie głów«”. Słowem, poinstruował ich praktycznie, jak nieobecność części parlamentarzystów może zapewnić kworum wymagane do wyboru prezydenta.

Davis pisał, że liderzy opozycji uważają osadzenie Jaruzelskiego w Belwederze za nieuniknione i niezbędne. Ponoć bali się – jak czytamy w depeszy – „wojny domowej, która skończyłaby się, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, podjętą niechętnie, ale brutalną interwencją radziecką”. Zarazem parlamentarzyści Solidarności nie zamierzali się aktywnie do tego wyboru przyczynić. Chcieli wyjść z impasu z twarzą, tym bardziej że podczas kampanii wyborczej zarzekali się publicznie, że nie będą głosować na Jaruzelskiego. Wielu z nich zresztą autentycznie nie wyobrażało sobie głosowania na dyktatora, który wtrącał opozycjonistów do więzień, szykanował ich, a w konsekwencji zniszczył wielu ludziom życie rodzinne i zawodowe. Miał też na sumieniu około stu ofiar zabitych przez aparat represji PRL od momentu wprowadzenia stanu wojennego.

Amerykański ambasador poinstruował więc czwórkę gości, niemających jeszcze doświadczenia w parlamentarnej arytmetyce, jak z sukcesem przeprowadzić niechcianą, a zarazem – zdaniem wielu – konieczną operację. Ci „na odchodnym stwierdzili, że wyliczenia były naprawdę interesujące”. Wyłożenie liderom Solidarności tej sztuczki przekraczało granicę oficjalnej dyplomacji, ale Waszyngton w tamtych dniach jednoznacznie zalecał swoim urzędnikom podtrzymywanie dialogu między opozycją a komunistami, przypominając, że należy to do bieżących priorytetów amerykańskiej polityki.

Głosowanie, upokorzenie, wybór

17 lipca Jaruzelski postanowił ostatecznie kandydować na prezydenta. Tego dnia spotkał się z Obywatelskim Klubem Parlamentarnym. Spotkanie trwało kilka godzin. Całe jego wystąpienie miało charakter pojednawczy; generał próbował pokazać nową, bardziej osobistą twarz. Opowiedział m.in. o losach swojej ziemiańskiej rodziny, wracał do lat młodości. Mimochodem rzucił też posłom opozycji rękawicę, gdy powiedział: „Nie żałuję 13 grudnia, [bo] naciśnięcie na hamulec ratuje czasem przed katastrofą. Gdyby nie 13 grudnia, tego grona nie byłoby dziś

w sejmie i senacie”. Była to interpretacja – delikatnie mówiąc – kontrowersyjna i subiektywna. Mimo to Jaruzelski zyskał ostatecznie względne poparcie OKP. Precyzując: następnego dnia na ożywionym zebraniu zrezygnowano z przyjęcia wniosku o dyscyplinie głosowania przeciwko generałowi. W ten sposób stworzono możliwość faktycznego poparcia go poprzez formalne zaniechanie. Postępując tak, liderzy Solidarności nie chcieli zaprzepaścić okrągłostołowego porządku; jego wywrócenie mogłoby się zakończyć – jak przekonywano – krwawą rewoltą na ulicy, ale także (i o tym mówiono mniej) koniecznością dopuszczenia do władzy kolejnych środowisk opozycyjnych; takich, które od początku kontestowały porozumienie z komunistami.

Głosowanie 19 lipca było jawne. W ten sposób zneutralizowano osoby zbyt przestraszone i niezdolne do otwartego wyrażenia sprzeciwu wobec bezalternatywnego wyboru głowy państwa. Po zliczeniu kart okazało się, że wstrzymało się bądź zagłosowało przeciwko Jaruzelskiemu 25 posłów z ZSL, SD i PZPR. Decydujące znacznie miał więc już wspomniany unik opozycji. Ostatecznie Jaruzelski przeszedł jednym głosem ponad wymagane minimum. Ale ▶



Fot. PAP / CAF / Damazy Kwiatkowski

▶ Gdynia, uroczystości siedemdziesięciolecia zaślubin Polski z morzem, 1990 rok

Fot. PAP/CAF/Damazy Kwiatkowski



► „Wasz prezydent, nasz premier” – postulował Adam Michnik na łamach „Gazety Wyborczej” z 3 lipca 1989 roku; na zdjęciu – prezydent PRL Wojciech Jaruzelski i niekomunistyczny szef rządu Tadeusz Mazowiecki w dwa dni po zatwierdzeniu nowego gabinetu; Warszawa, 14 września 1989 roku

i to nie było jednoznaczne. Po zakończeniu procedury na mównicę wszedł Jan Rokita i podał w wątpliwość metodę wyliczenia większości. Przeprowadził inne wyliczenie, z którego wynikało, że Jaruzelskiemu zabrakło... pół głosu. Rozpoczęła się debata. Do przedstawiania kolejnych interpretacji i ekspertyz zabrali się prawnicy. Ostatecznie więc transmitowany przez radio i telewizję wybór trwał ponad sześć godzin. To nie był triumf, lecz upokorzenie generała.

Wojciech Jaruzelski nie zdobył tym samym nowej, autentycznej legitymizacji. Zdobył natomiast przyzółek władzy, ale ten – mimo szerokich uprawnień przysługujących wówczas głowie państwa – okazał się nieistotny. Można nawet powiedzieć: prezydent niezauważenie wjechał na bocznicę. Oprócz tego dotychczasowi pezetpeerowcy już wkrótce przemianowali się na socjaldemokratów. Zamieniono sztandary, a miejsca przywódcze w odnowionej partii (Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej) zajęli ludzie, którzy przed Okrągłym Stołem dopiero zaczynali brać udział w najważniejszych procesach decyzyjnych. Byli znacznie młodszy od Jaruzelskiego, Kiszczaka, Rakowskiego. Zatrzymali cztery lata później, wygrywając w 1993 roku – tym razem w pełni demokratyczne – wybory parlamentarne.

Półtora roku w Belwederze

Początkowo Jaruzelski próbował się odegrać i wywalczyć dla towarzyszy partyjnych jak największą pulę realnej władzy. Zaraz po wyborze zaczął zabiegać o usadowienie Kiszczaka na stolcu premiera. Mianował go nawet na to stanowisko. Dla solidarnościowców przewidywał natomiast raczej rolę „kozła ofiarnego”. Mieli skorzystać z platformy przygotowanej przez PZPR: objąć ministerstwa drugoplanowe z punktu widzenia utrzymania władzy politycznej (budownictwo, zdrowie, przemysł) i ściągnąć na siebie niezadowolone społeczne wynikające z katastrofy gospodarczej. „Związek musi dopiero dorosnąć do władzy” – tak Jaruzelski urabiał Lecha Wałęsę. Ostatecznie przez ponad trzy tygodnie szef bezpieczeństwa gen. Kiszczak próbował sformować gabinet. Nic z tego nie wyszło. Wałęsa – wciąż jeszcze głos ludu i elity solidarnościowej – nie dał mu ostatecznie swojego *placet*. A Jaruzelski poza Kiszczakiem nie znalazł innego zaufanego kandydata. Zgodził się więc na premiera z przeciwnego obozu. 19 sierpnia powierzył reprezentantowi Solidarności Tadeuszowi Mazowieckiemu (co ciekawe, do niedawna niechętnemu przejęciu władzy) misję tworzenia rządu. W konsekwencji w niespełna miesiąc później, po raz pierwszy w bloku sowieckim, po-

wołano gabinet, na którego czele stanął antykomunista i katolik.

Odtąd prezydent Jaruzelski funkcjonował raczej w cieniu innych aktorów politycznych. Już nie podkreślał swojego rodowodu ideologicznego (pod koniec lipca ustąpił ze stanowiska szefa PZPR). Wręcz odwrotnie. Białe plamy jego życiorysu zaczęły się wypełniać informacjami dotychczas nieznanymi albo mało znanymi: że pochodził z rodziny ziemiańskiej, że uczył się w gimnazjum marianów, że przeżył zsyłkę na Syberię. Był koncyliacyjny, a nawet ustepliwy wobec propozycji rządu Mazowieckiego. Otwarty na spotkania z liderami parlamentarnej reprezentacji solidarnościowej. Podpisywał przedkładane mu dokumenty; nie wetował reform i zmian ustrojowych. Ostatecznie zgodził się także – po pewnym oporze – na zniesienie komunistycznego święta 22 Lipca, a więc na degradację „mitu założycielskiego” Polski Ludowej. Ponadto m.in. uchylił uchwałę z lipca 1974 roku dotyczącą nadania Leonidowi Breżniewowi Krzyża Wielkiego Orderu Virtuti Militari, a także pojechał pod pomnik polskich żołnierzy walczących pod Monte Cassino i złożył tam kwiaty (nie zatrzymał się jednak przy grobie gen. Andersa). Wydawał się coraz bardziej samotny. Rakowski napisał, że już kilka miesięcy wcześniej sprawiał wrażenie człowieka pogrążonego w depresji, czasem przestraszonego.

Z inicjatywy partii Jarosława Kaczyńskiego Porozumienie Centrum po roku od wyboru Jaruzelskiego zaczęto zbierać w parlamencie głosy z apelem o jego ustąpienie. 22 grudnia 1990 roku generał opuścił Belweder. Ze sceny politycznej schodził już jako prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, nazwa Polska Rzeczpospolita Ludowa przestała bowiem obowiązywać 31 grudnia 1989 roku. Nie został zaproszony na uroczystość zaprzysiężenia nowego prezydenta – Lecha Wałęsę, wybranego w wyborach powszechnych. Na wyraźne polecenie Wałęsę zresztą. Generał mógł to zignorować. Ale powiedział, że nie chce psuć nastroju. 🇵🇱

dr Robert Spałek – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie